

Po drugiej stronie

Rafał Cuprjak



Rafał Cuprjak

Po drugiej stronie



[Kup książkę](#)

Po drugiej stronie

Copyright © Rafał Cuprjak

Copyright © Wydawnictwo Genius Creations

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover art by Paweł Dobkowski

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2015 r.

druk ISBN 978-83-7995-036-2

epub ISBN 978-83-7995-037-9

mobi ISBN: 978-83-7995-038-6

Redakcja: Dawid Wiktorski

Korekta: dr Marta Kładź-Kocot

Ilustracja na okładce: Paweł Dobkowski

Projekt i skład okładki: Paweł Dobkowski

Skład i typografia: [Studio Grafpa](#)

Redaktor serii: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Podmiejska 13 box 27

85-453 Bydgoszcz

sekretariat@geniuscreations.pl

www.geniuscreations.pl

Książka dostępna w księgarni: www.MadBooks.pl

i www.eBook.MadBooks.pl

Marzence

*Rafał Cuprjak nie istnieje naprawdę
wymyślili go
zrobili na niego casting
w Realu Tesco Makro Biedronce
wyselekcjonowali
wybrali najlepszego
dostał cztery taki
umie odpowiadać na pytania
umie się ubrać tak jak chcą
założyli mu konto na Facebooku
sfilmowali go z kochanką
będzie Bogiem jutro i pojutrze*

Spis treści

SZKIC	11
CIAŁO	17
1. Sen, kroki, góry.	17
2. Cypis i Monika, wyjazd, wspomnienia.	24
3. Schronisko, getto, Izaak.....	31
4. Venus i Penafort, sama, nowe życie.	37
5. Burza, schronisko, towarzystwo.....	45
6. Zabawa, diaby, taka mokra.....	51
7. Izaak, koniak, telefon.	60
8. List, TO, pobudka.	67
9. Spotkanie, kłótnia, netbook.....	74
10. Opatrunek, niemal, miłość.....	81
11. Strzelanina, słowo, dziecko.	88
12. Sen, oparzenie, światło.....	95
KONTRAST	103
1. Aleksander, skrytka, być silnym.....	103
2. Rajmund, Justyna, Henryk.....	110
3. Natalia, praca, urodziny.	117
4. Pożegnanie, ucieczka, umieranie.	123
5. Zakupy, talent, prośba.	130
6. Pena, pierwszy raz, suka.....	137
7. Fakty, kłamstwo, politycy.....	144
8. Stanisław, powrót, trzy wizyty.....	151
9. Pobudka, portret, ławka.	159
10. Kolacja, NK, zakłęcie.....	165
11. Omija mnie, to nie on, pudełko.	172
12. Dwie Krystyny, taniec, nadzieja.....	179

BARWY	187
1. Integracja, horror, zdębiałem.	187
2. Matka, zatrucie, wdępienie.	194
3. Telefon, znajomości, Superior.....	201
4. Dzieciństwo, nowe mieszkanie, nowy dom.	208
5. Wariat, obrzyn, służbówka..	216
6. Monika nie żyje!, sterylność, szkoda.	223
7. Powrót, tramwaj, prawie koniec.	230
8. Australia, pąsy, brama.	238
9. Morderca, Jeanne, ogień.....	245
10. Zakopimy was, Woodstock, punkowo.	252
11. Muzyka, wahadło, wykład.....	259
12. Ślimak, boska iskra, prochy.	266

PERSPEKTYWA	273
1. Smutna, imiona, Działowa.....	273
2. Kocie vibrato, Złoty, Uciekaj stąd!	281
3. Wybór, odbiornik, nie uwierzysz.....	288
4. Sznurówki miłości, pieczęć, to.....	295
5. Namalowana, niewinna, stokrotka.....	303
6. Eldorado, purpurowa, przedstawiam ci.	310
7. Przeprowadzka, piżama, Pierwszy.	317
8. Chimery, plan, dziwadło.	324
9. Melancholia, Mela, poematy.	330
10. Odwiedziny, niebieski pociąg, przezroczysty	339
11. Oszczędny, ogień, umarli	345
12. Uczta, narada, taniec.	353

RETUSZ	363
1. Zakończenie.....	363

SZKIC

Odnalazł mnie patrol Straży Granicznej. Jakimś cudem wypatrzyli samochód ukryty w krzakach na poboczu. W środku byłem ja. Myśleli, że nie żyję, bo leżałem półnagi, bez ruchu, cały we krwi. Potem się przerazili, bo rzuciłem się na nich z nożem w rękę. Byłem jednak zbyt słaby, żeby zrobić im jakąkolwiek krzywdę. Zabrali mnie do szpitala, tam okazało się, że cierpię na amnezję pourazową i postarają się mnie odnaleźć na liście zaginionych, bo ja nie pamiętam niczego. Imienia, nazwiska, daty urodzenia, mojej rodziny. Zupełnie niczego. Spyтали mnie skąd pochodzę. Z Australii, ale czy z Sidney, czy z Melbourne, czy z Perth? Mieszkają mi się, koala, strusie, krokodyle, Aboryge-ni, kangurek Hip Hop, góralska chatka, pociąg. Nie wiem, kim jestem. Naprawdę nie wiem.

Jutro odwiedzi mnie żona.

Czekałem na nią, miałem nadzieję, że ta wizyta wszystko wyjaśni.

– Znalazłam cię, Adaś – szepnęła, stojąc przy łóżku. Uśmiechnęła się i pocałowała mnie w usta, taka śliczna, z piegami na twarzy, z blond warkoczami.

Przyszła z dziećmi, z chłopczykiem i dziewczynką, mówili do mnie tatuś, przytulali, starałem się żeby nie zauważyli, że w ogóle ich nie pamiętam, że pierwszy raz ich widzę i nie mam pojęcia jak się do nich zwracać. Próbowiałem to wszystko ukryć, zachowywać się, jakby nic się nie stało, jakbym ich znał. Nie obchodzą mnie słowa lekarza, że to minie i żebym się nie martwił, że muszę jak najszybciej wrócić do domu, że potrzeba czasu. Mam dość.

Zabrali mnie tydzień później, pokazali, gdzie mieszkam, gdzie jest łóżko, płyty, komputer, kaptcie, rowerek do ćwiczeń. Opowiadali, jak malowałem pokój, jak wspólnie remontowaliśmy kuchnię, jak spadłem z drabiny. Nie mogłem się nadziwić. Obejrzałem zdjęcia, fotografie rodziców, dziadków. Przekonali mnie, że to mój dom. Dzisiaj czuję się już trochę lepiej, nauczyłem się ich imion, nawet poznaję własne odbicie w lustrze. Powiedzieli, że zabiorą mnie do brata, mam tam zostać sam, żeby odpoczął, żeby się zrelaksował. Mój brat jest malarzem. Jego też nie pamiętam.

Wszedłem po schodach, zadzwoniłem.

– Otwarte!

W drzwiach stoi kobieta, jego żona. Jak się z nimi witać? Czy podawać rękę, czy się obejmować, unikam takich rzeczy, zrezygnowałem i po prostu przycupnąłem gdzieś z boku.

– No proszę. Usiadłeś w swoim ulubionym fotelu.

Staram się nadrabiać uśmiechem. Dostaję do ręki kubek z kawą, talerzyk z ciastem, łyżeczkę. Próbuję, smakuje wyśmienicie.

– Chodź, zobaczysz, nad czym teraz pracuję.

Brat prowadzi mnie do innego pokoju. Słychać głośną muzykę, Coltrane, *Blue Train*, wreszcie coś rozpoznałem, to dobry znak. Na środku dużego pomieszczenia stoi sztaluga, na niej niedokończony obraz przedstawiający stary drewniany domek, krzywy płot, krzywe drzewo i zarys trzech postaci siedzących na ławce. Obok sztalugi mały stolik, na nim popielniczka z wypalonym papierosem i dwa kieliszki wódki. Wszędzie porozrzucane farby i pędzle, na ścianach rysunki i grafiki.

– Podoba ci się?

– Nie wiem. Nie znam się.

– Zawsze tak mówisz.

Raczymy się bimbrem, gadamy o głupotach, filmach, muzyce, jednocześnie słuchając świetnego klasycznego jazzu. Co jakiś czas zagląda jego żona i powtarza żebyśmy nie chlali, bo przecież mi nie wolno, po czym donosi ciasto, parzy kawę, a my i tak pijemy dalej. Powoli zaczynam się rozluźniać.

– Jak to jest, jak się tworzy?

– Jestem bogiem! – odpowiada, wstaje, rozkłada szeroko ręce, już podpity, prawie się przewraca.

– Jestem bogiem, ale nie tym z Paktofoniki, i nie Jezusem Chrystusem, nawet nie Zeusem, tylko takim małym bogiem, bożkiem. Jak zasypiam, obrazy się budzą, życie w nich toczy się normalnie, tak jak u nas,

wyobraż to sobie, tam też jedzą, płodzą dzieci, łożą wodę, jarają gandzię, kłócą się.

Mija wiele kieliszków, zanim przyjeżdża po mnie taksówka. Całuję ich na pożegnanie, ściskam, jakbym rzeczywiście się za nimi stęsknił i spotkał ich po paru latach nieobecności.

– Nie przejmuj się! Zobaczysz, będzie dobrze! – słyszę, gdy odjeżdżam, ale nie odwracam się, podnoszę jedynie rękę do góry, na więcej nie mam siły.

– Dawno pana nie było, panie Adamie. Jedziemy do domu, czy zajrzeć jeszcze gdzieś po drodze?

Jestem pijany i pomału przestaje mnie drażnić to, że wszyscy mnie znają, a ja nikogo. Żeby nie słuchać głędzenia taksiarza, udaję mocniej nawalonego, niż faktycznie jestem, udaję, że nie mogę się wysłować, że zasypiam. Tuż przed domem udaję, że się obudziłem, płacę, żegnam się i wychodzę na świeże powietrze.

Po takiej dawce alkoholu podwórko wydaje się bardziej znajome niż wcześniej. Wchodzę do mieszkania, po cichu, jest późno, na szczęście śpią, tak ślicznie przy tym wyglądając. Włączam telewizor, nalewam lampkę mojego podobno ulubionego chivas i skaczę po kanałach kablówki, oczywiście żaden mi nie odpowiada, i nie jestem w stanie się skupić, mam dziwne wrażenie, że ktoś ciągle mnie obserwuje, podgląda, albo nie, każe wykonać jakieś zadanie, jakąś czynność, tak, koniecznie, ale co by to miało być?! To uczucie wciąż się wzmacnia, a ja nie potrafię przestać o tym myśleć, nie potrafię się na niczym skoncentrować. Zaczynam chodzić od ściany do ściany, mam nadzieję, że jak to

zobaczę, to mi się coś skojarzy. Idę do łazienki, do przedpokoju, odsuwam szuflady, zaglądam do szafek, grzebię w swoich ciuchach. Przy okazji dokopuję się do koszulki, tej z gór, z samochodu, jest już wyprana, prawie nie ma na niej śladów krwi.

Przypomniało mi się, czego szukam! Noża! Przecież znaleźli mnie z nożem! To jego tu brakuje! Byli z policji, zwrócili, chyba tak, trochę mi się myli, niepotrzebnie tyle wypilem. Tylko gdzie ja mogłem... gdzie ona mogła... moja żona go zabrała... mówiła, że daleko od dzieci, żeby nie dosięgły. Znowu szuflady, półki, barek. Nie ma.

– Kurwa mać!

Już wiem! Schowek w kuchni, wysoko, muszę stanąć na krześle. Sięgam. Jest tutaj! Leży zawinięty w szmatkę, w plastikowym worku. Chciałbym go obejrzeć, dotknąć. Udaje mi się go zdjąć, błyszczy, głaszczę ostrze opuszkami palców, łapię za rękojeść i zamykam oczy.

Zmiana.

Przewróciłem się, uderzyłem mocno, ale niemal od razu się podniosłem. Otwieram oczy i już wszystko wiem. Odzyskałem świadomość, zrozumiałem.

CIAŁO

1. Sen, kroki, góry.

Śniło mi się, że kogoś zabiłem. To był bardzo prawdziwy sen o przyszłości. Miałem o czymś pamiętać. O czymś istotnym, co kiedyś uratuje mi życie. Budzik zadzwonił o czwartej piętnaście. Wstałem, umyłem zęby. Zmusz się, skoncentruj, pomyślałem, to niezwykle istotne. Odszukaj jedną rzecz, jeden fakt, jeden punkt zaczepienia, cokolwiek. Niestety, wszystko, co pamiętałem to krew na rękach. Ale przecież ja nie mogłbym zabić. Jestem tylko Antonim, a tacy goście jak Antoni, tacy niepozorni, nie zabijają, nie są w stanie. Jak niby facet po trzydziestce, który od niedawna jest kierownikiem logistyki w dużej spółce budowlanej, który nie narzeka, mimo że często startuje o ósmej, a kończy o dwudziestej, niejednokrotnie cały tydzień w drodze, Olecko, Warszawa, Kraków, Wrocław, Szczecin, który nocuje w tanich hotelach z nadrukami na ręcznikach i pościeli, z jednorazowymi mydełkami, ciepłym piwem i ciągle niedziałającą kablówką, jada obiady w hotelowych restauracjach serwujących przesoloną jajecz-

nicę, flaki wołowe z mrożonki i chłodne bułki – jak niby mógłby to zrobić?

– Dobra, Antoni. Bądź wreszcie dużym chłopcem. Zabijanie? Krew? Nie, nie dzisiaj.

Dzisiaj już nie chcę tego roztrząsać, bo wreszcie wyszedłem na szlak. Idealna pogoda, ani śladu ludzi. Kawał czasu czekałem na ten urlop. Kilka dni w Bieszczadach, później weekend u siostry w Mieście, ale wcześniej droga, wędrówka, pot, odciski na stopach, czysta przyjemność.

– Jeden głupi sen nie może tego popsuć!

Jesteś w górach, daj spokój, przecież to uwielbiasz. Powtórz, jesteś w górach, przecież to uwielbiasz. Strome podejścia, liczenie kroków, dziesięć długich, przerwa do złapania tchu, dziesięć następnych, odpoczynek. Po czterdziestu pięciu minutach postój. Szukam przewróconego drzewa, wielkiego kamienia, jakiegoś stabilnego miejsca, żeby na chwilę przysiąść. Parę łyków wody, kostka czekolady i tętno wraca do normy. Siedzę i obserwuję las, wsłuchuję się w jego oddech, w szum potoku, w niesiony przez wiatr trzask złamanej gałęzi. Mam dziwne wrażenie, że nie jestem sam, wy czuwam spojrzenia dzikich zwierząt, duchów puszczy, biesów i czarów. Wierchy dają znać, że powinienem iść. Zbieram się, chociaż najchętniej zostałbym tu na wieczność.

– A jeśli to ostrzeżenie?!

A jeśli jestem kolejnym wcieleniem Kuby Rozpruwacza, ale póki co uśpionym? Do teraz, bo właśnie budzik o czwartej piętnaście zapoczątkował spiralę

wydarzeń i w sumie nie wiem, jak one się skończą? Może nawet ktoś kiedyś nakręci o tym film. Już sobie go wyobrażam. Antoni, scena pierwsza, ujęcie pierwsze. Moje biuro, opieram się o komputer, mówię do kamery. Od czego mam zacząć? Powiedz, czym się zajmujesz. Specjalizuję się w analizach logistycznych, w wyszukiwaniu wąskich gardeł łańcucha dostawy do klienta, w znajdowaniu wąskich gardeł i wad systemu. Dzięki mnie koncern w zeszłym roku zaoszczędził prawie milion złotych. Jestem kimś w rodzaju firmowego policjanta, który optymalizuje procesy, wytyka błędy. Potrafię wskazać słabe ogniwo, ponieważ każdy element, każdy składnik da się zmierzyć i oszacować.

Boją się mnie, unikają mojego wzroku, bo mógłbym ocenić ich jako mało przydatnych, bo przeze mnie dołożą im obowiązków, może nawet zwolnią.

Cięcie.

Przeskok do przeszłości. Dzieciństwo. Podstawówka. Siedzę w ławce ubrany w granatowy sweterek z czerwoną naszywką „wzorowy uczeń”, jestem z niej dumny, chociaż śmieją się ze mnie i wyzywają od kujona. Moja wychowawczyni wprowadziła zasadę, że lepsi uczniowie muszą po lekcjach pomagać słabszym. Nikt ze słabszych nie chce trafić na mnie, bo traktuję to jak misję i nie odpuszczam, męczę ich jeszcze po lekcjach, w domu. Nie znoszą mnie, a ja wcale się nie dziwię. W ósmej klasie wygrywam olimpiadę matematyczną, dzięki czemu mogę wybrać sobie liceum. Stawiam na ekonomik, arytmetyka, finanse, statystyka, miałem ochotę je zgłębiać, odkrywać ich tajemnice, nic innego

mnie nie interesowało. Nigdy nie pojechałem na żadną wycieczkę, nie byłem na żadnej randce, na żadnej imprezie. Nie miałem ochoty. Moja siostra litościwie namówiła koleżankę, pewnie nawet ją ubłagała, żeby poszła ze mną na studniówkę. Dziewczyna była prześliczna, miała na imię Baśka, farbowane na czerwono włosy i glany zamiast obcasów. Rozmawiało się miło, nawet przeszło mi przez myśl, że mam u niej jakieś szanse. Jednak, gdy odwoziłem ją do domu okazało się, że ma chłopaka i poprosiła, żebym nikomu się nie wygadał, że ze mną była, bo się rozniesie i będzie miała kłopoty. Czar prysnął.

Potem matura, poszła jak po maśle, w zasadzie bezstresowo. Cieszę się, że to już koniec tej głupiej budy, bo mam dość, liczę na przełom, na wyrwanie się z domu, z dwupokojowej klitki, w której pachnie biedą, gdzie normalnie mogę rozmawiać tylko z siostrą. Pragnę wyjechać, wynająć małe tanie lokum, samemu albo z kumplami, waletować w akademiku, chodzić na zajęcia – albo zamieszkać z dziewczyną, wkuwać na egzamin, gotować obiady, a wieczorem wychodzić na miasto zgraną paczką, rozmawiać o sztuce, o filmach i obrazach, których nie rozumiem, o których nie mam zielonego pojęcia, by za chwilę wrócić i kochać się z dziewczyną, bez ustanku, do białego rana i wyskakiwać z łóżka prosto na zajęcia.

Cięcie.

Korytarz, uczelnia, Politechnika, logistyka, tak wybrałem. Część moich marzeń się spełniła, a część nie. Poznałem wielu ludzi i zżyłem się z nimi, niektórzy

do tej pory dzwonią, żeby się umówić, a ja zupełnie nie mam czasu, zresztą wtedy też nie miałem, bo się uczyłem, co dopiero teraz, w kółko praca, od rana do wieczora. Ale wtedy to co innego, wtedy wciąż żyłem nadzieją, że przytrafi mi się jakaś samotna panienka, gdzieś w śpiworze, o czwartej piętnaście nad ranem, po imprezie, w której się zakocham bez pamięci. I spełniło się, tylko że przestała odbierać telefon, ale wpadłem na nią na innej imprezie, obściskiwala się z jakimś niskim grubasem, a ja i tak się łudziłem, że go zostawi i wróci do mnie, tyle że nie chciała, więc się upijałem i oblewałem egzaminy, jeden za drugim, i piłem dalej, aż spotkałem kolejną, która mnie zostawiła. I następną, ale przy niej przynajmniej nie zawałem żadnego egzaminu. Znowu byłem najlepszy. Wysoka średnia, zadowoleni profesorowie, oferty pracy jeszcze w trakcie studiów, staż w firmie, dyplom, zaproponowali mi nawet posadę na stałe. Świetnie prosperujące, międzynarodowe konsorcjum budowlane, dobrze płatna pierwsza robota. Właściwie wcale się nie wahałem. Po trzech latach awans, służbowe mieszkanie, samochód, laptop, telefon, zawodowo wszystko idealnie się ułożyło. Zawodowo tak, prywatnie nie. A ja wyobrażałem sobie, że moje życie będzie doskonałe. Potrzebowałem kogoś bliskiego, kogoś obok, kobiety, która szykowałaby mi kanapki do pracy, tęskniła i pozwalała raz lub dwa razy w roku wyjechać w góry, albo żeby nawet jeździła tam ze mną i czekała, aż zejść z trasy. Bo taki już jestem, gdy kilka miesięcy nie poczuję pod butami traktu, zaczynam być dla siebie ciężarem, gorzej pracuję, mam

problemy z koncentracją, z rozdrażnieniem, apatią, irytacją, bo szlak jest dla mnie nagrodą, wycofaniem się ze świata wykresów liczbowych i wejściem w wykresy rzeczywiste, w wykres podchodzenia, ukośnego zejścia, spadających kamieni, linii drzew przy połoninie. Upajam się tym, tu nic nie muszę, wystarczy iść.

Cięcie.

Cisna, mała miejscina w sercu Bieszczadów. Zjadam śniadanie przed spożywczakiem, nagabywany przez miejscowych pijaczków, o bułkę, o pięć złotych, o papierosa. Oczywiście się nie odzywam, odmawiam i jeden powstrzymuje drugiego, żeby mi nie zrobić krzywdy, bo to turysta, a turystę trzeba szanować, kłóć się, szarpią. A ja nie mam najmniejszej ochoty na tutejszy folklor i ruszam w drogę. Zarzucam plecak, mijam główne skrzyżowanie, przechodzę obok stacji kolejki wąskotorowej, przez mostek nad rwącym potokiem, by zaraz odbić w gęsty las. Zawsze staram się być przygotowany, mapa, kompas, latarka, naładowany telefon, profesjonalne buty trekkingowe i śpiwór, ciepła sportowa kurtka, zapas jedzenia i wody, całość dopięta na ostatni guzik, nic cię nie zaskoczy, Antoni, nic a nic. Początek jest łatwy, chociaż wszędzie pełno błota, przecież parę tygodni temu leżał tu śnieg, potem padało, a słońce nie zdążyło jeszcze dotrzeć, na dobre zawita pewnie dopiero latem, rozpuści wtedy gęsty gnilny zapach życia.

Pierwsze podejścia nie są takie urwiste, ale oddech już zaczyna przyspieszać, już za moment liczenie kroków, spuchnięte palce, mokre od potu ciało, krótkie od-

poczynki w miejscach bez wiatru, bo może będę miał farta i uda mi się cyknąć zdjęcie sarencie, jeleniowi, może żubrowi albo niedźwiedziowi, to byłoby coś. Wciąż posuwam się do przodu, z każdym krokiem bardziej bolą plecy a ja jestem zadowolony, bo znowu wygrałem. Niebawem główna nagroda, w końcu wychodzę z lasu na poloninę, widok zapiera dech, powinienem się na chwilę zatrzymać, na chwilę przestać patrzeć, bo to zbyt dużo, trzeba po trochu, dlatego skupiam się na wejściu na pierwszy duży szczyt, Małe Jasło. Wreszcie mogę usiąść w trawie i podziwiać, jakbym był w jakimś boskim teatrze. Kolejny raz sam, ale fajnie mi z tym, o tej porze roku nikogo tu nie ma, to nie Tatry, nie Alpy, nie Pireneje, pełne ludzi, a jeśli nawet ktoś się pojawi, to raczej nie będzie to przypadkowy niedzielny turysta, nie ktoś, kto mógłby przeszkodzić w odbiorze. Po tym kawałku świata chodzi się jak po grzbiecie pradawnego smoka, który zasnął tu kiedyś przez pomyłkę. Stąпам uważnie, żeby go nie obudzić. Szkoda tylko, że droga musi mieć metę, że musi być zachód słońca, a po nim noc. Wolałbym żeby tak nie było, wolałbym wędrować bez ustanku i dalej opowiadać własną historię, udawać, że gadam do kamery, wyjawiając nawet te złe rzeczy z przyszłości, te podłe i okrutne. Przede mną Jasło i granica ze Słowacją na Okrągliku, czyli najładniejsza część trasy. Obiecuję sobie, że nikogo dzisiaj nie spotkam, a nawet jeśli spotkam, to będę udawał, że nie spotkałem, że jestem tu jedynym człowiekiem. Może wtedy mi się przypomni, o czym śniłem, co miałem zapamiętać.

Cięcie.

2. Cypis i Monika, wyjazd, wspomnienia.

Spotkałem ją na koncercie na skłocie, przyszło dużo więcej ludzi niż zwykle, a wśród nich ona. Chyba nie było gościa, który nie zwróciłby na nią uwagi, takich dziewczyn nie spotyka się na ulicy, kolesie ciągle szturchali się łokciami, popatrz ziomuś, mówili, popijając browary, a później zniknęła mi z oczu, jeszcze później wpuściłem się w muzykę *Włochatego*, w jej prostotę, w przekaz, który nas poniósł wszystkich tak, że pot skraplał się na suficie, żeby znów spaść, i znów wyparować, i tak w kółko, żeby przerodzić się w energię, której nikt nie jest w stanie powstrzymać, i która we mnie nigdy nie zginie, nawet gdy przestaną grać i rozjadą się do swoich miast, domów, mieszkań, nawet gdy zostanę tu sam. Ale jeszcze nie czas, jeszcze jak zwykle po koncercie mała imprezka, trochę piwa, trochę palenia.

Nawet nie wiem, kiedy usiadła obok, nawet nie wiem, kiedy powiedziała, że ma na imię Moni, że jest tu pierwszy raz, bo wcześniej słyszała, ale do tej pory nie była i tak wyszło, że zajrzała dopiero dzisiaj, i jest zajebiście, naprawdę. A ja prawie wcale się nie odzywałem, bo ścisnęło mnie w gardle od jej głosu, od tego szczebiotu, zapachu ciała, dołków w policzkach, od tego jak opierała się ręką o moje ramię. Nie musiałem się bać, że zawalę, że palnę jakąś głupotę, bo klepała bez ustanku, opisywała mi swoje życie, jakbyśmy znali się od lat, nie miała pojęcia, co robić, bo starzy się rozeszli, bo jest sama i przez to jej odpier-

dała, wciąż w pustym domu, a ojciec wiecznie gdzieś jeździ w interesach i, debil, wysłał ją do prywatnego katolickiego liceum pełnego bogatych durnych lalun, a ona nie ma najmniejszej ochoty tam chodzić i wołałaby do normalnej szkoły, albo najlepiej w ogóle się nie uczyć, bo to i tak nie ma sensu. W końcu się upiła i zasnęła w fotelu, w pokoju Judyty, więc przyniosłem koc i ją nakryłem, a ona się uśmiechnęła, tak bardzo pragnąłem wierzyć, że do mnie, a gdy wychodziłem wypuściła z siebie szeptem dwa słowa:

– Dzięki, Cypis.

Nie mogłem zasnąć przez to „dzięki, Cypis”. Wyobrażałem sobie, że jesteśmy razem, że dziwnym sposobem trafiła do mnie, do mojego wszechświata, ale gdzie tam, chłopie, czy ty widziałeś, jak ona wygląda? Przecież może mieć kogo zechce, serio, a to, że siadła akurat przy tobie, to czysty przypadek, nie masz szans, ogarnij się! Czym niby miałbyś zaimponować takiej lase? Urokiem, kurwa, osobistym?! Tym, że mieszkasz na skłocie? Weź przestań! No dobra, może nie jesteś najbrzydszym gościem na Ziemi, może masz coś do przekazania, ale, człowieku, to jest po prostu inna liga! I błagam cię, nie wpuszczaj się! Słyszysz?!

Rano ekipa spotkała się na śniadaniu, kanapki, kawa, śmiechy, wspólne zeznania o tym, kto co zapamiętał, bo tradycyjnie przeholowaliśmy z piciem i z jarami. Oprócz ciebie, Cypis, bo ty jak zwykle wszystko pod kontrolą, dwa piwka, jeden lelek i teraz wstajesz świeży, nie to co my, ty to potrafisz, każdy by tak chciał. Ona też zeszła, w świetle dziennym jeszcze

piękniejsza, mimo że we wczorajszym makijażu, nieuczesana, w pogniecionych ciuchach, wzięła krzesło i siadła obok i patrzy, jej śliczne niebieskie oczy, krótkie włosy zafarbowane na rudo. Odezwij się wreszcie.

– Wolne?

Znowu mówi ona, a ciebie stać zaledwie na to żeby przytaknąć, nic więcej. I wkładasz kawałek bułki do ust, żeby to odwlec, żeby to ona ciągnęła rozmowę, opuszczasz wzrok, próbujesz dokładnie obejrzyć kubek od kawy, łyżeczkę, swoje paznokcie, bo nie wolno jej pokazać, nie ma prawa się domyślić, dowiedzieć, jak ślicznie wygląda, jak łakniesz jej słów.

– Ty chyba nie za bardzo mnie lubisz, Cypis, co?

– Weź przestań. To nie tak.

Nie wiem co dalej, nie daję rady! Odezwij się! Zamiast tego nie robisz nic, siedzisz jak sparaliżowany, jakbyś odraczał wyrok. A ona nakrywa palcami twoją dłoń, jej kciuk delikatnie przesuwa się po twojej skórze, wciąż nie reagujesz, ani drgniesz.

– Popatrz na mnie, Cypis.

Prosi cię, a ty w końcu podnosisz głowę. Poddajesz się, bo jesteś pewien, że wystarczy, że na chwilę na ciebie zerknie i od razu pozna całą prawdę, bo już nie jesteś w stanie ukryć, więc chyba tak będzie lepiej. Uśmiecha się i czujesz dreszcze na plecach.

– Wpadnę za parę dni. Czekaj na mnie.

Na koniec rzuca głośnie „na razie”, potem wychodzi i już jej nie ma. Czas pozbyć się złudzeń, Cypis! Ona nigdy tu nie wróci! No dobra, nawet jeśli wróci, to co z tego? To nic nie znaczy. Dlatego panuj nad sobą,

kolego! Pamiętaj, możesz liczyć wyłącznie na siebie! Od zawsze! Przypomnij sobie, zamieszkałeś tutaj na skłocie, bo nie miałeś nikogo, ani jednej bliskiej osoby. Ale już nie jesteś sam! Obok są przyjaciele, razem pokazujecie ludziom, jak żyć inaczej, jak być wolnym i iść inną drogą, w której nie ma miejsca na chorą ambicję, karierę, wyścig szczurów, poświęcanie się dla kasy. Przecież to wcale nie jest potrzebne, te gigantyczne rezydencje, zamknięte osiedla, luksusowe samochody warte w chuj kasy, a później jeden z drugim narzeka, że smog w mieście, że korki, że córeczka taka ładna, ale ma nadwagę. No jak ma, kurwa, nie mieć, jak, idioto, wszędzie wozisz ją autem! Pomyśl o swoich dzieciach! Pomyśl, na jakim świecie je zostawisz, jak odejdziesz. Pomyśl sam, chociaż raz. Bo nie chcę cię zmieniać na siłę, chcę, żebyś się zastanowił, żebyś się zatrzymał i zobaczył, że mógłbyś to robić w inny sposób. Spójrz na mnie i zrozum, że wybrałem inny los i ty też mógłbyś. Nie twierdzę, że jest łatwo. Naprawdę muszę nieźle zasuwać, żeby mieć co włożyć do garnka. Pracuję u Mariuszka. To kumpel, stary punkowiec. Wspólnie szyjemy wojskowe ubrania, kurtki, spodnie bojówki, torby, plecaki. Kokosów z tego nie ma, ale to nic, kasa nie jest aż tak ważna. Ale komu ty to tłumaczysz, Cypis, kogo próbujesz przekonać, po co? No tak, racja! Jest jeden powód. Pojawiła się ona i może wywrócić wszystko do góry nogami, rozwalić układankę, wystarczy, że poprosi, wystarczy, że rozkaże, wystarczy, że przyjdzie do mnie za trzy dni i powie, że ma sprawę.

– Cześć, Cypis. Mam sprawę. Pogadamy?

No jasne! Pewnie, że tak. I zabrałeś ją na górę. Do twojego terytorium, twoich czterech kątów. Te godziny, gdy jej nie było, dłużyły się w nieskończoność. Teraz jest, przyszła przed sekundą, ręce ci się trzęsą, spodziewałeś się, przeczuwałeś, nie mogłeś pracować, marzyłeś o tym, wymyślałeś strategię, o czym zagadasz, jak się zachowasz, a i tak zaschło ci w gębie i nie jesteś w stanie wydobyć z siebie nic więcej, prócz banalnego:

– Zapalisz ze mną?

Ona oczywiście się zgadza, więc skręcasz džointa, odpalasz, najpierw Moni, ty potem, materiał sadzony przez ciebie, podlewany, dbałeś o niego, a on odwodzi cię w idealnym momencie, bo jesteś bardzo ujaraany, nawet za bardzo, i zaczynasz gadać, i nie zamykają ci się usta, Moni leży obok, słucha cię uważnie, czasem tylko zapyta, poprosi o coś, a tym razem to ty spowiadasz jej się z całego życia, ze swoich zasad, z tego, że unikasz alkoholu, z tego, że nie jesz mięsa, że można bez niego normalnie funkcjonować, że jedyna twoja używka to właśnie to jaramie, ale z dala od dilerów, bo to bez sensu, bo kupiliście ziarenka i macie z kumplami takie miejsce, gdzie hodujecie i doglądacie, i że nie jesteście od nikogo zależni, ale zaraz, przecież miałaś do mnie sprawę, a ja w ogóle nie pozwoliłem ci dojść do głosu. Chwila ciszy. Później ona:

– Jutro urywam się z domu. Nie mam już siły. Muszę uciec na parę dni. Zajębałam ojcu trochę siana.

Podnosi się, bierze kolejnego macha i kładzie się z powrotem obok. Leniwie wypowiedane wyrazy do-

cierają do mnie jeszcze wolniej, nie do końca rozumiem ich sens.

– Chciałabym żebyś ze mną jechał, Cypis – dodaje.

– Jechał? Gdzie?

– Czy to ważne?

– W sumie...

Śmiech, przytula się, jej zapach, dłonie na moim kolanie, wirujący pokój pędzi coraz szybciej. Wstaję.

– Mówisz poważnie? – pytam, patrząc na nią, nie mogąc oderwać wzroku, gdybyś wiedziała, że możesz zrobić ze mną, co zechcesz, że na jedno słowo padnę przed tobą na kolana, gdybyś wiedziała, że zmieniłaś kolor i teraz jesteś niebieska, twarz, włosy, ale to nic, to chyba nawet lepiej. – Pewnie, że z tobą pojadę.

Opadam na plecy, na łóżko, całuje mój policzek, aż przechodzą mnie ciarki, warto było, choćby miało nic z tego nie wyjść.

– Moni?

– No?

– A właściwie to gdzie mnie zabierasz?

– Niespodzianka, zobaczysz jutro.

– Już jutro? Kurwa, tak szybko?! Daj zapalniczkę!

Znowu palimy, wreszcie Moni się zbiera, długo to trwa, bo od godziny szukamy jej kurtki, którą wciąż ma na sobie. Spotkamy się rano na pekaesie, musimy się spakować, wyjeżdżamy, świetnie, i rzeczywiście wyglądała na zadowoloną, przez co jest mi tak ciepło na sercu, czy to możliwe, żeby ona? Żebym ja? Mam nadzieję, że to nie sen i że naprawdę wyjeżdżam na wakacje.

Zaraz, zaraz, kiedy ja ostatnio gdzieś byłem? Chyba z rodzicami, dawno temu. Jak matka żyła, to co roku jeździliśmy na wczasy do Międzywodzia. Super klimaty, wielki pokomunistyczny ośrodek zakładowy, do plaży dwieście metrów, do centrum też dwieście, zawsze dużo dzieciaków, było z kim pograć w nogę, czy w siatkę. Wieczorami uciekaliśmy po kryjomu nad wodę, żeby się wykąpać, powygłupiać, pierwsze przyjaźnie, miłości, synowie i córki robotników, od świtu do zmierzchu na świeżym powietrzu, a nasi starzy w tym czasie bania u cygana, czy deszcz, czy słońce. Matula cały rok zasuwała na hucie, żeby raz w roku przez dwa tygodnie popuścić pasa, rozwalić kasę, byłem wtedy taki szczęśliwy. Rany, to już pięć lat, ale ten czas zapierdala. Jak wykryli u niej raka, nikomu się nie przyznała. Powiedziała, że ma zapalenie oskrzeli i że bardzo słabo się czuje i żeby dać jej spokój. Dwa tygodnie później już nie żyła. Jest jeszcze kochany, wiecznie pijany tatuś, ale nic o nim nie wiem, uciekłem od niego, bo po jej śmierci nie potrafił przestać chlać, nie miałem ochoty tego oglądać, więc bujałem się trochę po dalszej rodzinie. Miesiąc u jednej ciotki, miesiąc u drugiej, miesiąc u znajomych. Jak tylko skończyłem osiemnastkę, zamieszkałem na skłocie. Teraz to mój dom, moi najbliżsi. Ale może rzeczywiście to dobry moment na parę dni odpoczynku.

– Dosyć tego użalania! Do pracy rodacy!

Trzeba spakować ciuchy, śpiwór, buty, kasę, blanty, materiał, no i muszę dać cynk wszystkim, zadzwonić do Mariuszka, bo chwilę mnie nie będzie, ale to spoko

gość, na pewno zrozumie, nastawić budzik, ale super, rewelacja. Nie mogę się doczekać. Ale za pięć minut. Ostatni lolek, ostatni strzał, zresztą i tak już nie pamiętam, co miałem zrobić.

3. Schronisko, getto, Izaak.

Budowa trwała wiele lat. Całość wykonałem sam, od początku do końca własnymi rękami, każdy kameień, każdą deskę, od fundamentów aż po dach. Było ciężko, ale się udało. Pomiędzy Okrąglikiem a Fereczatą w Bieszczadach powstało schronisko. Jest trochę oddalone od szlaku, żeby nikt przypadkowy nie mógł tutaj dotrzeć. Schronisko czeka wyłącznie na nich. Trafia tu, gdy nadejdzie właściwa pora i stanie się to, co im pisane. Nawet najdrobniejszy szczegół został dokładnie zaplanowany. To nieuchronne.

Jeszcze niedawno byłem jak oni. Zwyczajny facet, mający rodzinę, pracę, marzenia, problemy. Ten świat minął bezpowrotnie, bo pojawił się NÓŻ. Chociaż teraz już wiem, że był ze mną zawsze, że to jedynie ja niekiedy się od niego odsuwałem. Pamiętam dzień, gdy ujrzałem go pierwszy raz. Pamiętam Miasto za okupacji, moje rodzinne, ukochane, w którym mieszkam i pracuję jako komisarz granatowej policji, pół Polak, pół Niemiec, ale przede wszystkim kolekcjoner i znawca sztuki, pasjonat. Tu się zaczęło. Większość mieszkańców doskonale orientowała się w tym, co mnie fascynuje, że można u mnie sprzedać obrazy, antyki, biżuterię. I przyszedł stary znajomy, Żyd Mojsze.

Przed wojną handlował ze mną złotem, ubiliśmy sporo interesów, kiedyś chodziliśmy na kawę, a dzisiaj ledwo go rozpoznałem. Getto niszczy ludzi, łamie ich.

– Mam coś dla ciebie, Adam. Coś nadzwyczajnego.

Odwinął go ze szmatki. Rzut oka, jakbym był dzieckiem oglądającym prezent pod choinką, jakby ktoś właśnie spełnił moje marzenia. Masz rację, to jest to, czego szukam! Dokładnie to! Ale nie dałem tego po sobie poznać, jestem dobry w te klocki.

– Ile? – spytałem, mając nadzieję, że wymieni jakąś ludzką sumę, a wtedy powiem mu, że dam połowę, a gdy się będzie targował, dorzucę parę groszy ze względu na dawne dzieje i na podłą sytuację, dodam, że to prezent, że na szczęście.

– Chcę żebyś mnie stąd zabrał. Chcę żyć.

– To za mało – wskazuję stół, na którym leży fant, chociaż w tej chwili już zawija go z powrotem, wyznając załamany głosem, że więcej nie ma, tylko to, bo rodzina zdążyła wyjechać, i prosiłem go w myślach, żeby już przestał mnie katować, bo wiem jak mu pomóc, wsparłem już wielu. Dopiero gdy wychodził, złapałem go za ramię.

– Ktoś widział, dokąd idziesz? Nikt cię nie śledził?

Zresztą po co pytać, nie ma sensu. Przypadek, mały zbieg okoliczności i już po mnie. Wciąż na krawędzi, wystarczy jeden mały donos, ale on zapewnia, zarzeka się, przysięga, chociaż nie powinien, bo wreszcie znalazłem to, czego szukałem, tak blisko mnie. Dla niego jestem w stanie naprawdę dużo zaryzykować, zgodzę się, nie mam innego wyjścia.

– Zostaw to i przyjdź jutro wieczorem. Spróbuję ci pomóc.

Może się cieszyć, bo dotrzymuję obietnic, oni są tego świadomi. Już niedługo dołączysz do swojej rodziny, będziesz bezpieczny. On dziękuje, całuje mnie w rękę, zabieram ją, mówiąc, że nie trzeba, ale uważaj na ten przedmiot, on nie jest do końca bezpieczny, to najważniejsza pamiątka rodzinna, jest taka legenda, że Kain ugodził Abła właśnie tym nożem, tyle że ja w to nie wierzę.

– Idź już! Zaraz będę miał gości, nie mogą cię zobaczyć!

Przyjechali. Zdążyłem w samą porę. Mój przyjaciel Paul, szef niemieckiej policji przybył w asyście kilku oficerów, przywiózł trochę biżuterii, obrazów do wyceny. Większość trafi do magazynu, którym zarządzam, przy Senatorskiej, w sercu żydowskiej dzielnicy. Niektóre rzeczy sprzedam, inne to inwestycja, zabezpieczenie na przyszłość. Oni je przynoszą, ja określam wartość, na niektóre potrzebuję czasu, to musi poczekać, a tamto zabierzcie. Paul rozsiada się w fotelu.

– Co dzisiaj widziałeś, Adam? – pyta.

Uwielbia słuchać opowieści o getcie. Są dla niego niczym muzyka, twierdzi że pod wpływem jego obecności tamto miejsce się zmienia, bo wszyscy go znają i ukradkiem obserwują. Dlatego woli mieć podglądacza, kogoś mniej wyróżniającego się, a bardziej anonimowego, czyli mnie. Ważne są szczegóły: jak wyglądała ta bójka o chleb, jak się staniało na nogach umierające dziecko, czy coś krzyczało, czy może nie,

czemu nikt nie zwrócił na nie uwagi. Nazywają go panem życia i śmierci, choć w Mieście jest raczej panem śmierci. Byłem świadkiem, gdy kazał kiedyś zatrzymać samochód na środku ulicy, wysiadł, podszedł do Żyda stojącego na chodniku i strzelił mu prosto w głowę.

– To był akt łaski, Adam. Po prostu skróciłem mu cierpienie. I tak długo by nie pociągnął. Poza tym nie wiem, czy słyszałeś, ale oni, jak zdychają, wydają z siebie taki odgłos, jakby odgłos... ulgi. To prawdziwie oczyszczający dźwięk.

To nie był pojedynczy wypadek, ale zwykła codzienność. Choć Paul miał też drugą twarz, domową, rodzinną. Tam był panem życia, kochającym ojcem dwóch ślicznych córek, przykładnym mężem. Z takim Paulem się przyjaźniłem, z takim piłem kawę, koniak, bawiłem się, podziwiałem sztukę. Wszystko inne, ta bieda, śmierć i wojna, to zostawialiśmy za drzwiami, odsuwaliśmy daleko, nie rozmawialiśmy o tym. Paul odwiedzał mnie często. Ale ta wizyta była szczególna, głęboko utkwiała mi w pamięci. Nigdy nie spotkałem go w takim stanie jak wtedy. Po swoim tradycyjnym „co dzisiaj widziałeś?” już mnie nie słuchał, był gdzie indziej, błędził.

– Co ci jest? – spytałem.

Ocknął się, wyglądał jak wyrwany z głębokiego snu, potem podniósł głowę i spojrzał w sufit, ale tak jakoś dziwnie, inaczej.

– Dobrze mnie już znasz – powiedział z błyskiem w oczach, po czym wstał szybko, podszedł i pochylił

nade mną, zajął głęboko w oczy, wydawało mi się, że próbuje wydostać ze mnie najgłębsze tajemnice.

– Likwidujemy getto!

Chwila przerwy, zastanawiał się jak zareaguję, a ja zastygłem, nie drgnąłem ani na milimetr. Ci głupcy nie interesowali mnie aż tak jak sądził, nie obawiałem się jatki, miałem to gdzieś, nie bałem się już niczego. Więc przestał się uśmiechać, wyprostował się, odwrócił i kontynuował.

– Oni mają takie święto, Jom Kippur, czyli sądny dzień. Gdy minie sądny dzień, zabraknie Żydów w Mieście. Według ciebie to dobra data?

– To nie moja sprawa, Paul.

Roześmiał się głośno.

– Mówiłem ci już, że cię lubię, Adam? Wpadnij do mnie – to właśnie jego słowa na pożegnanie.

Popatrz, Mojsze, jednak urodziłeś się pod szczęśliwą gwiazdą. Mało brakowało, a byś nie zdążył. Udało ci się, masz farta. Zobaczmy ten twój skarb. Wyciągam go z szuflady, odwijam, jest piękny. Czekałem na ciebie, powtarzam w myślach. Wygięte esowate ostrze, rękojeść z kości słoniowej, klinga zaostrzona jedynie po wewnętrznej stronie, na początku wąska, później rozszerzająca się, w dziwny sposób odbijająca światło. Sprawia wrażenie dłuższego niż jest, prawie jak miecz. Pragnę go dotknąć, nie mam wyboru.

– Znalazłem cię – wyszeptane w ciszy.

Podnoszę go, a on przyczepia się do mnie i nie chce wypuścić.

Od tego dnia wszystko się zmieniło, jakbym urodził się na nowo. Życie działało się obok, byłem tylko ja i NÓŻ. Nie od razu zrozumiałem, o co chodzi, co się dzieje, nie panowałem nad tym, nie umiałem tego wykorzystać. Tymczasem w Mieście zaczął się pogrom. W rzeński, słoneczny poranek na główny plac targowy na Nowym Rynku, tam, gdzie znajdował się centralny punkt selekcji, tam, gdzie siedzieli panowie na drewnianych krzesłach, wyrokując – zdolny do pracy albo do wagonu, pędzono tłumy ludzi, gęsto, zawiesiście, a pociągi godzina za godziną odjeżdżały do Treblinki. Kilkanaście dni, kilkanaście nocy, czterdzieści tysięcy kobiet, mężczyzn, dzieci, starców, dwa tysiące zginięło na miejscu, zbiorowe mogiły na Kawiej, strzały, dym, płacz, w powietrzu zapach krwi, nawet w oddali, nawet za miastem, na budynkach, ulicach, ubraniach żołnierzy. A gdy padał deszcz, wydawało się, że pada deszcz krwi, bo brukiem płynęły czerwone strugi, zlewające się w kałuże, albo ściekające do rynsztoka, obmywające martwe ciała. Część płacze, część się modli, niektórzy idą w milczeniu, do końca próbując mieć nadzieję. W dwa tygodnie getto przestało istnieć. Zostało niecałe sześć tysięcy ludzi, w większości tania siła robocza dla huty i zakładów włókienniczych. Wśród nich on. Ma na imię Izaak. Wydostałem go z transportu. Maszynista już ruszał, niewiele brakowało, ale on musiał przeżyć. Jest wyjątkowy, ma do odegrania inną rolę. Załatwiam mu dokumenty, będzie pracował u Peltza, będzie zbierał siły, w odpowiednim momencie NÓŻ trafi w jego ręce, zabierze go z magazynu, razem

z bronią i chemią do produkcji ładunków wybuchowych. Ale powoli, spokojnie, jeszcze nie teraz. Na razie obserwuję Paula, jak spaceruje dostojnym krokiem wąskimi uliczkami. Nie mam pojęcia, o czym myśli. Jest ósmy października czterdziestego drugiego roku. Nie ma już Miejskiego Getta. Dla ocalałej resztki Żydów stworzono Małe Getto. To tylko kilka budynków całkowicie otoczonych drutem kolczastym, z jednym wyjściem, którym co rano mieszkańcy odprowadzani są do pracy, i którym wracają późnym wieczorem. Wśród nich jest Izaak, właśnie przechodzi obok Paula, tak jak inni maszeruje z opuszczoną głową, nie wolno mu ani na chwilę podnieść wzroku. Paul wreszcie mnie zauważa, nie pamiętam, kiedy ostatnio go spotkałem, wciąż był zajęty. Podchodzi do mnie i pyta:

– Co dzisiaj widziałeś, Adam?

4. Venus i Penafort, sama, nowe życie.

Witamy!

Serwis przeznaczony jest jedynie dla osób powyżej osiemnastu lat. Kliknij Akceptuję, jeżeli zgadzasz się na warunki operatora zawarte w umowie.

Okno dialogowe i kamera otwarte dla użytkowników serwisu, życzymy miłej zabawy.

Venus: dawno cie nie było

Penafort: pracuje ciężko mam mało czasu ile za priv?

Venus: jak dla ciebie kochany dwieście żetonów i spełnię każde życzenie:))

Penafort: ok 1an minut

Okno dialogowe zamknięte, użytkownik prowadzi obecnie prywatną sesję, możesz skorzystać z innych okien, życzymy miłej zabawy.

Venus: czego pragniesz kotku?

Penafort: wiesz co lubie najpierw potancz troche później zobaczymy

Nareszcie ktoś się trafił. Już miałam dość tych bzdurnych gadek, nudnych koleś, którzy chcieliby wszystko za darmo, nie dając nic, zero przygód, żadnego zaskoczenia. Już prawie zerwałam połączenie, ale jest. Dobrze, że wrócił, nie było go chyba z miesiąc, pewnie to jakiś wiejski biznesmen handlujący kapustą albo parówkami. Na bank ma kasę, zresztą przez ten rok, odkąd zaczęłam, wydał na mnie już z pięć tysięcy, więc musi mieć hajs. Swobodne ruchy, bez pośpiechu, obserwuję się w lustrze, ładna jestem, podobasz mi się laleczko, w tle słyszę cichą muzykę, Coltrane, *Blue Train*, moje ulubione, zapomniałam wcześniej wyłączyć, ale właściwie to niech gra, nawet lepiej.

Penafort: pokaz cyczki

Już, misiaczku, już. Rozpinam stanik i zsuwam go powoli, jednocześnie zasłaniając piersi. Nie mogę ci pokazać od razu, poczekaj chwilę. Dotykam ich lekko, subtelnie, pomału podnosząc do góry, opuszki palców łagodnie ocierają sutki, następnie oliwka, zwilżam nią szyję, krople wolno przesuwały się w stronę biustu, a tam moje ręce energicznie je rozmasowują. Mam nadzieję, że kręci cię to tak jak mnie.

Penafort: pokaz cipke

Venus: mam dla ciebie niespodziankę ogolilam się